

DZIENNIK MÓD PARYSKICH

Lwów, 25 marca 1843.

Rok czwarty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincji dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcji pod nrem 301., we Lwowie.

M O D Y.

Paryż, dnia 11 marca 1843.

Stroje damskie. Pokazują się tu już próbki strojów wiosennych; mówią o sukniach nowych mianowicie sukniach z greckimi rękawkami; ten rodzaj sukien wyda się tylko na korzyść wdzięków; staniki będą jeszcze wysokie, obcisłe, ozdobione brandeburskimi korunkami; takiż sam rodzaj ułożonych w sposób drabinki służyć będzie za ozdobę spodnicy. Rękawy noszą bardzo krótkie i wąskie przez całą długość; nie sięgają dalej jak do połówki między pięścią a łokciem, i kończą się mnóstwem guzików i dziureczek. U dołu są rękawy muszlinowe z bufkami. Otwór u rękawów haftowany jest jedwabiem.

Spodnice z materij z włosienią mieszanych, które mają wielką wziętość w strojach codziennych, są także nie mniejszego użytku w strojach wystawniejszych. Materie tego rodzaju bywają jedwabne, kaszmirowe, merynosowe stosownie do swego przeznaczenia i ceny; odcienia ich są najrozmaitsze, i mają wczem wybierać osoby najwykwintniejsze; cena ich wcale niedroga, trwałość nadzwyczajna, a tak ich elegancja jako też wygoda wielka jest to, co w nich najwięcej popłaca. Można by mniemać, że w nich nie ma jednego włoska, tak zgrabnie przetkano je tibetem lub jedwabiem, stosownie do rodzaju materii. Cudowny ten wynalazek zastąpił wybornie czystą kryolinę używaną pod suknie, a należy się równie jak ta Oudinotowi. W kolorze białym używają jej do strojów wytwornych, w ciemnych zaś do negliżów.

Do sukien z taką spodnicą potrzebne są niezbędnie gorsety tak zrobione, żeby niezostawiały nic do życzenia.

Ze strojów od wyjścia zachwalają dużo suknię pekinową sposobem redyngocika ozdobionego dziureczkami od wierzchu stanika, który jest wysoki, aż do dołu spodnicy, guziczki krągłe, jedwabne, są naprzeciwko dziurek również okrągło wyciętych. Suknia ta zapina się na te guziczki, aby zaś niewidać było sukni która jest pod spodem, daje się pod dziureczkami wstążka przez całą długość otworu.

Wyszczególniamy jeszcze jako strój od wyjścia powszechnie lubioną suknię axamitną z wielkimi wyłogami, z półkoszulkiem żabotowym; szal z kaszmiru indyjskiego, kapelusz ozdobiony kitką od *Fauconier'a*; mankietki molierowskie uzupełniają strój ten, którego wysoka elegancja robi skutek przedziwny. W ręku axamitny woreczek haftowany w ziarna złota i stali.

Rycina przedstawia: szlafroczek z *gros-d'Afrique*, dzikiego koloru, z dwiema spodnicami które są siatką roboty szmuklerskiej obszyte, stanik wygorsony z pelerynką, rękawy półszerokie równie siatką obszyte, kapelusz jedwabny, kwiatami ubrany. Szlafroczek z zielonej materii, gładki, z przodu korunkami czarnymi ubrany; stanik i rękawy gładkie podobnież korunkami ubrane, kapotka krepowa ubrana krepą.

Stroje męskie. Fraki, jakie jeszcze do balów wczasie karnawału służyły opisaliśmy już dawniej, i takie noszą dziś jeszcze; mają one kołnierzy i kłapy mocno wyłożone, a połysk szersze u dołu niż u góry. Spodnie noszą półobcisłe. Kamizelki długie z wycięciem u dołu *à la Napoléon*. Dla tych którzy wyglądają strojów wiosennych, nie mamy nic do doniesienia w tej chwili nadto, że się pojawiło mnóstwo materij nowych na spodnie, a jak się zdaje materie w kratki i w paski najwięcej będą noszone.

Na dzisiejszej rycinie przedstawiony jest: surdut wiosenny z szerokimi kłapami, wyło-

żonami axamitem, tudzież frak do konnej przejazdki; spodnie z faldami z materii w kratki.

Rysunek zawiera wzory następujące: dla proporcjonalnie grubych, dla grubych pochyło się noszących i dla grubych trzymających się prosto.

Pogadanka z panem cześnikiem.

przez

ADAMA GORCZYŃSKIEGO.

Dokończenie.

— Może pan dobrodziez znasz matkę moją? zapytał Juliusz ukontentowany, a nieotrzymawszy odpowiedzi, zapytanie ponowił.

— Czy ją znalazłem? pytasz się asindzi; a tak, w istocie, panną jeszcze (odrzekł cześnik).

— A wasindzieja matka nie wspomniała też kiedy o starym cześniku?

— Nieprzypominam sobie.

Cześnik jakby z umysłu pragnący przerwać ten dykurs, dostał tabakiery, i częstował gościa swego tabaczką.

— Bardzo dziękuję, niezażywam, (ozwał się Sze meski).

— A to może lulkę zapalisz, mam jedną dla gości.

— O bardzo proszę, ja fajki niepalę.

— I lepiej, bo wyznam wasindziejowi, że to dziwna imaginacja robić z gęby kominiek, ale to taka teraz moda na świecie; poczekajże wasindzi, czemże cię utraktuję, wypijemy sobie buteleczkę wina, tak *en deux*; mam kapitalne wino.

— Jeżeli pan dobrodziez uwolnić mnie od tego raczysz, bardzo mu wdzięczny będę.

— A coż u katal wasindzi ani do fajki ani do wina, no to sobie zagramy w karteczki, co? w halbecwelwe albo w diabelka.

— Niegustuję w żadnej grze.

— Otoż nie myśl że wasindzi, że ja jestem szulerem. Broń boże! chciałem tylko spróbować wasindzieja, i poznać go lepiej, bo nie taję się z tem, że powziąłem ku niemu szczerą afekt; poznany bliżej zyskałeś mój szacunek, chciej proszę wzajemnie obdarzyć mnie swoim zaufaniem, a w potrzebie liczyć na starego cześnika, a ręczę że się niezawiedziesz. Ale teraz napijemy się dotrej kawki, którą mój Jakub właśnie nam niesie; proszę asindzieja, siadajże asindzi. Mój Jakubie coś mało śmietanki nam dałeś?

— Czegoż trzeba, kiedy wykpiła; odrzekł sługa.

— No no, wystarczy dla nas, teraz możesz sobie odejść Jakubie. Wyszedł sługa, a cześnik popijając

kawę zawiązał znowu przerwany dykurs z swym gościem.

— Powiedz mi asindzi, mieszkasz na wsi i gospodarujesz jak słyszałem.

— Trzymam w dzierzawie Osocice, wprawdzie wyciągnięta possessia, ale coż robić było, teraz trudno o dobrą, w Osocicach jest dworek, matka moja ma w nim wygodne pomieszkowanie, dlatego się zdecydowałem.

— Nie tracisz przecież na dzierzawie?

— Pierwszego roku zle wyszedłem, drugi rok bóg da może będzie lepszy.

— Wasindzi masz już zapewne koło dwudziestu pięciu lat?

— Dwudziesty szósty rok skończyłem.

— O, to już czas, trzeba się wasindziem użenić; jak będzie gospodni w domu to i gospodarstwo lepiej pójdzie. Coż miarkujesz wasindzi, czy zle radzę?

Juliusz milczał.

— Jużto ja uważałem, że masz coś napiętego, ktożto jest ta panienka w niebieskiej sukience, z którą się tańczyło na balu?

I ona ma się do ciebie, szydła w worku nieukryjesz. A wcale przystoi na damę, i powiem prawdę że ma coś w ustach, co mi przypomina bardzo matkę wasindzieja, kiedy była młodą: taki wzrost, postawa, to była piękna pani, a serce pełne dobroci. Coż na to powiesz? (mówił dalej cześnik, starą swą ręką ścisnąc za rękę słuchającego). Coż na to powiesz? (dodał) gdy ci się przyznam, że się strzelał o twoją matkę... Bo to miarkujesz wasindzi (mówił cześnik) nie każdy młody, będzie miał rozum starego, ale każdy starzec miał swoje młode grzechy, i ja także byłem młody, a twoja matka była piękna.

Jeżeli wasindziejowi nieczepuje to smaku kawy, pokażę. Wstał z krzesła zbliżył się do łóżka, ze ściany zdjął pistolet, i rzekł z gorzkim wyrazem: patrz wasindzi! z tej lufy biegła kulka do piersi twojego ojca.

Juliusz się wzdrygnął na całym ciecie, skoczył na nogi i tą ręką, której zamachem wytrącił pistolet z dłoni starca, chwycił za czapkę i zabierał się do wyjścia.

— Pofolguj wasindzi (odezwał się cześnik, podnosząc z ziemi pistolet) pokażę ci drugi, który celował do mojej piersi. I twój ojciec nieboszczyk mierzył do mojego serca, a przecież mieszkał w nim długo przedtym i potym; do samej śmierci miałem przyjacielu jednego, a nim był twój ojciec, chociaż odebrał mi przyjaźń twojej matki.

— Panie Juliuszu! podaj mi rękę, ścisnij tę starą rękę moją, bo ona ścisnęła rękę twojego rodzica, gdy

konał; nie było ciebie wtenczas w domu, byłeś w szko-
łach. Owoż miarkujesz wasindziej, chociaż tak sa-
motnie żyję, miewam czasami i kompanię co mię ro-
zrywa: dużo wspomnień zmarłych czasów; a na ich
zbudzenie nie trzeba trąby archaniola, same przycho-
dzą. W żywej mam pamięci ten dzień, kiedy po tych
dwóch wystrzałach, co zaniósł dwie kulki gdzieś w po-
wietrze, podaliśmy sobie ręce, powrócili do dawnej
przyjaźni, przyjaźni, która na szkolnej ławce wyrosła;
chociaż rzadko widywaliśmy się z sobą, w domu oj-
ca twojego niebywałem, bo tam mieszkała twoja matka,
a żona jakich mało na świecie, a jakiej wasindziej-
wi z serca życzę. *A propos* dobrze że sobie przypo-
mniałem (mówił dalej cześnik zbliżając się do swojej
komody) muszę ci zprezentować pewien portrecik, jak
miarkuję przyjemniej wasindziejowi będzie, mam tu
miniaturkę twojej...

— Co słyszę! zawołał Juliusz pełen zadziwienia,
a umysł jego znowu się powlekał chmurą nieukont-
entowania, na tę myśl, że to obraz matki jego, jak
się dorozumiał, zostawał w ręku obcym.

Żywy był ruch ręki, którą odbierał z rąk starca
portrecik, ależ jakie było jego zadziwienie, kiedy rzu-
ciwszy nań okiem, obaczył twarz młodą. Oślupiał, gdy
stanąwszy przy świetle, poznał na miniaturze wielkie
podobieństwo do twarzy Emmy...

— Panie cześniku! (zaczął mówić tym brzękiem
mowy litości, co jak grad sypie się z ust) zaklinam pana
na wszystko, chciej się wytłumaczyć, bo pojąć nie-
mogę jakim sposobem dostałeś, jakim prawem chowa-
łeś u siebie portret mojej matki? a co mnie jeszcze
więcej zastanawia, to dziwne podobieństwo do panny
Jelińskiej.

— Pomiarkuj się wasindzi, odrzekł cześnik, zdi-
wiony tem zadziwieniem się gościa swojego. Bynaj-
mniej nie mówiłem, żeby to miał być portret matki wa-
sindzieja, to jest portret panny Emmy Jelińskiej,
córkę także szkolnego kolegi mego.

— O boże! (zawołał Juliusz) jak trafiona, kochany
panie cześniku ten obrazek w rękach pana niema war-
tości, u mnie będzie skarbem, mojem weselem i po-
ciechą, o zlituj się panie, co bądź zażądaś, niemam,
niemam nic tak drogiego, żebym nieoddął za ten
skarb dla mnie najdroższy.

— Bardzo żałuję; ale dysponować nim nie mogę,
bo niejest jeszcze moją własnością, odrzekł cześnik,
zażywając tabaczkę.

— Ile panu dobrodziejowi wdzięczny jestem za po-
kazanie mi tego portreciku, tyle ciekawy, i zaklinam
go chciej mnie powiedzieć, chciej wytłumaczyć, jakim

nieodgadniętym dla mnie sposobem, dostał się do rąk
pańskich?

— A czemuż nie, chętnie zaspokoję ciekawość wa-
sindzieja, ale co słuszną, domagam się wprzód abyś
zaspokoił moją.

Miarkujesz wasindzi, byłem dla niego z całą
otwartością, teraz na ciebie kolej panie Juliuszu, roz-
twórz mnie na rozcież serce całe, wszakże okienkiem
jednem już zaglądaliśmy do niego, i wiemy co się tam
święci. Bo to miarkuj wasindzi nie dla samej cieka-
wości, radbym wiedział, jak stoją twoje interesa ser-
deczne; jesteś synem mojego szkolnego kolegi, o
matkę twoją strzelałem się i, a co nie mniejsza, po-
znaję w tobie kawalera moralnego, przykładnego co
się zowie; ale wiek młody, wiek woskowy, lada far-
tuszek przyłgnie do serca, było się we Lwowie, cho-
dziło się do szkół; miarkujesz wasindzi ja radbym
się dowiedzieć, czyli na trwałość tych sentymentów
liczyć można?

Kończąc tę przemowę cześnik wpatrzył się w o-
blicze młodziana, właśnie jakby żadaną odpowiedź
z ócz tylko chciał czytać, z twarzy dobadać się prawdy.

Ale twarz Juliusza, jakby po niej jakaś gryząca
pocięka trucizna, przybrała wyraz cierpki, i bolesny,
oczy stanęły słupem utkwione w cześnika; paliły się
dzikim polyskiem.

Było długie milczenie, a tak głębokie, że wyraźnie
słychać było kołatanie serca młodziana i oddech jego
předki, a tak ciężki, jakby się z piersi przytłoczonej
kamieniem z boleścią wydobywał. Długo tak było,
nareszcie temi słowy odezwał się młodzian:

— Pan dobrodziej widzę igraszkę sobie robisz ze
mnie, wystawiasz mnie na ciągłe próby, prawdziwie
ogniowe próby.

— Być może, ale wasindzi wytrzymujesz te próby
i z każdej zwycięzko wychodząc podbijasz mnie do o-
statka. Usiądź wasindzi i spokojnie, jeżeli możesz,
opowiedz mi jak to było, z kąd twoja pierwsza zna-
jomość z tą damą, której portrecik tak miły sercu;
dalekoście już zaszli na tej drodze, co zwykle pro-
wadzi przez kościół do raję ziemskiego. Proszę wa-
sindzieja usiądź przy mnie i zaczynaj swoją historię,
do której i moje wspomnienia przystaną jak zwiędła
róża do świeżej; ale czekaj wasindzi zamknijmy się
na klucz, żeby nam tu nikt nie wchodził, a nieprze-
szkadzał; bo to będzie nasz obiad z Magdusią
który świadka nie lubi. Znasz zapewne tę komedię
pana Dmuszewskiego.

— Widziałem ją we Lwowie na teatrze.

— Kiedys ją widział, to ci się ona nie raz w ży-
ciu przypomni. Ale teraz *ad rem*, słucham.

— Mówilem panu dobrodziejowi zaczął Szemeski, że od ś. Jana osiadłem na dzierzawie w Osocicach, dawniej mieszkaliśmy w belzkim. Przeniosłszy się w tę stronę dla mnie obce, nie znałem nikogo, w kościele, w naszej parafii po raz pierwszy ujrzałem pannę Emmę.

— W kościele poczęta znajomość, dobra wróżba, (przerwał cześnik częstując gościa tabaczką).

— Pamiętam byłoto w czasie żniwa, szedłem do żeńców na pole, oddalone za lasem, dochodząc do mostku nad rzeczką, postrzegłem...

— To ona była, nie sama? zapewne byłeś ciekawy widzieć kto była ta druga osoba?

— Była to jej dawna piastunka, Emma stanęła, jedną nóżką na wązkim mostku, poręczy nie było, wahała się, rączkę trzymała podniesioną; jakiś anioł myśl mi poddał, przybiegłem, podałem moją Emmie, z uśmiechem na ustach przyjęła bez wahania się, bez namysłu rękę nieznajomego; nigdy w życiu nie dotknąłem się takiej lubej, malutkiej...

— Duńskiej rękawiczki, (dodał cześnik śmiejąc).

— Oh! jakaż nielitościwa słów zabawka. Młodzian połajał żartobliwego starca, i po chwilce ciągnął dalej swą historię, której drugą epokę dotykał, bo każda historia ma swoje epoki, tej niewylączając gdzie miłość króluje.

Wtenczas spojrzałem po raz pierwszy w jej oczy, zdawało mi się że niebo otwierając się, patrzy się na mnie jej oczami; moje pomieszczenie było widoczne, słowa mi się płątały, na jej pytania zle odpowiadałem.

— Miarkuję, zawiązała się między wami rozmowa, długoż trwała? zapytał cześnik.

— Nie liczyłem momentów, bo tak szybko biegły, ale od tej chwili w życiu mojem stanowej, już tylko o niej, zawsze o niej myślałem, dumałem we dnie, i śniłem w nocy.

Zawieszona nad strugą, gdyby anioł w powietrzu stała mi zawsze w poprzek moich myśli; rozbiły się wszystkie o nią, w nią się wkiwały, jakby muszki w sieć pajęczą. Takich dni długich, a jednak nie straconych przesunęło się wiele.

Jednego wieczora okropna łona zatlała na niebie, pierwszy byłem na koniu; na wzgórze wyjechawszy ujrzałem dwór pani Jelińskiej, Emmy mieszkające, w płomieniach; okropna była moja trwoga, mój przestach. Zdawało mi się że to dzień sądny, chorągiew zniszczenia świata powiała nademną, ten dom palący się był dla mojej myśli stołem, na którym spalić się miał świat cały. Włosy mi stanęły, czułem jak krew rozprężyła mi żyły, rozrywa pory i wylać się pragnie wszystko ze mnie; dzisiaj jeszcze dziwię się

temu, że w dniu tym, w tej okrutnej chwili, nierozpękły się piersi pod młotem tej straszliwej trwogi, co się tłukła w mem sercu, tak okropnie. By się dostać do nieba trzeba przejść przez cierpienia czyscowe, ja przez piekła męczarnie przebrnąłem do rajów roskoszy; trzeba było nieszczęścia do szczęścia mojego, trzeba pożaru było, ażeby się zapaliła pierwsza moich nadziei gwiazdeczka.

Ta okropna chwila, ten przestach, niepewność, zamieszanie i nieład, to wszystko razem się skupiło, i jakoby czarnymi jakimiś ramionami porwało dziewicę i mnie oddało. Dobiegam do folwarku, tam ona była, w ciemnej izbie, pełnej sprzętów, pełnej dymu, nieporządku, tam zastałem panią Jelińską siedzącą, omdlewającą, kilka kobiet koło niej, tam była Emma, ach jak ona wtenczas była piękna!! Ledwie mnie dostrzegła, przybiegła jakby siostra do brata rączkami chwyciła się mojej ręki i słowami z których w każdym było całe pełne morze czułości zaczęła mnie prosić o litość, o pomoc, o ratunek.

Nie mogłem przyjść do siebie, jakby z gorącej łaźni nagle rzucony w zimną kąpiel odzyskiwałem moją przytomność ale powoli, i powoli zacząłem kosztować roskoszy uszczęśliwienia z niedowierzaniem i jakby obawą że pod temi słodczy kroplami w kielichu mnie podanym są jeszcze krople trucizny na dnie. I onaż to prosiła mnie o litość, o ratunek? o mój boże, a patrząc to na pożar domu, to na nią, myślałem sobie, każ mi się rzucić w ten ogień, a zobaczysz że ciebie posłucham.

Dom mieszkalny, którego pokoje już ogień zajmował, nie potrzebował ratunku. Ale pani Jelińska w tem miejscu zimnem i nie zdrowem zostawać dłużej niemogła. Ofiarowałem jej dom mojej matki na chwilowe mieszkanie, nie bez długiego dąsania przyjęła moją prozbę. Wnet zaprzągnięto do karety, i ciemną nocą powoli, bo pani Jelińska lękała się wywrotu, idąc całą drogą pieszo, nieodstępny przy pojeździe prowadziłem do mojego domu ten pojazd w którym jak w arce Noego cały świat jakiejś przyszłości zdawał mi się być zamknięty. W czasie tej powoli odbywanej podróży rozmawiałem z Emmą, niekiedy wsparłem się ręką na drzewczkach pojazdu, a skoro pojazd przechylił się ku jednej stronie, rączka Emmy przylekniętej ujęła się mojej.

— Jaż to miarkuję (odezwał się cześnik któremu znać długo było milczeć) miarkuję że niepuścisz takiej zdobyczy.

— Pani Jelińska (kontynował opowiadanie swoje tamten) przez trzy tygodnie mieszkała w domu naszym; dobra moja matka odstąpiła jej większe pół do-

mu, odstąpiła pokoju swojego, łóżko nawet, sobie od-
mawiała wygody ażeby jej dogodzić, krzątała się koło
śniadania, obiadu. Pani Jelińska przyjmowała te po-
sługi nasze jakby daninę powiną, miasto wdzięczno-
ści, nieraz boleśnie raniła serce matki odzywając się
do Emmy po francusku z naganą potraw, żartem zło-
śliwym albo gorszem ubolewaniem nad tymi biednymi
ludźmi, coto nieumieją zadysponować obiadu. Mó-
wiła po francusku, jakby już z góry osądziła, że by-
liśmy skazani na nieumiejętność francuskiego języka.
Co Emma przytem cierpiała odgadnąć mogłem, patrząc
na jej pomieszenie, a czasem łzy w oczach, które ukryć
nie mogła. Poznaliśmy bliżej panią Jelińską. Wy-
stawił pan dobrodziej osobę, chudej, cierpkiej jak-
iejsz twarzy, której przymruganie oczów odbierało
wszelki blask życia, zawsze obwiązana, z nieśmier-
telną fluxją, u której pokoju okna zamknięte, firanki
spuszczone, atmosfera jakaś kamforowa, piec w mie-
siącu czerwcu nawet opalony, do której nikt niewcho-
dził, by się wprzód nie okadził. A teraz pojmujesz moje
męczarnie, gdy patrzyłem na oburzający sposób życia,
na jaki Emma była skazana. Wśród dostatków zro-
dzona, musiała doznawać cierpienia głodu i męki pra-
gnienia, a to z dyspozycji matki, która takimi męczar-
niami chciała zachować córce zgrabną talię i zapo-
biedz zbyt niemu utyciu. Suche mięso, kompot, bułka
sucha składała dzienny pokarm Emmy, nieznała
smaku świeżego chleba, zimnej wody, i zdrowy po-
wiew ranny nie ochładzał jej czoła, jej usta nie piły
powietrza, tylko przecedzonego przez muszlin woalu.
A co dopiero kiedy wspomnę na te męczenniczki, jej
nóżki, które krępowano tasiemkami i wciskano w naj-
ciaśniejszy trzewik, tak, że zrana łzy stawały w jej
oczach, łzy bólu za każdym stąpieniem. A do tego
trzeba było tyle znosić, słuchać, pić ziółka, brać le-
karstwo, codzień do północy czytać długą francuską
gazetę, słowem, co kazano robić, niemając żadnej woli,
żadnego chęcia, a to trzeba być aniołem, albo nią
tylko, ażeby nie pragnąć końca takiego męczeństwa.

— Biedna dziewczynka, odezwał się cześnik; spo-
dziewam się jednak, znając wasindzieja dobre serce,
żeś się starał ulżyć tej niedoli samym widokiem roz-
dzierającej duszę, a zatem trującej to szczęście, które
nastąpić miało, miałem powiedzieć, które ta arka
Noego wniosła do twego domu.

— Szczęście moje było zupełne, (odrzekł Juliusz
z rosnącym zapalem). I nie nie było w stanie je zaćmić,
byłem pewny serca, wzajemności mojej drogiej Emmy
byłem najpewniejszy. W przyszłość nie patrzyłem, od-
wróciłem się od niej, pogardzałem nią jak wrogiem,
który nas straszy gdzieś z daleka.

— Nie miarkujesz asindzi; (wpadł w słowo słu-
chający); że ten wróg straszący już się przybliżać
zaczyna, a nawet coby być nie powinno, zakradł się
na ten bal wczorajszy, tańcu twojemu przeszkodził,
jego obecność nie była ci pożądaną. Co?..

— O boże! zawołał Juliusz, a w oczach jego łzy
stały. Cześniku! (zaczął mówić) ja widzę w tobie
anioła, pocieszyciela mojego, ratuj mnie, dopomóż.
Wstydzę się tego płaczu mojego, ale mogę nie pla-
kać, kiedy pomyślę że może już wszystko się skoń-
czyło, a moja biedna matka, tak mnie kocha, śmierci
mojej nie przeżyje! I rzucił się obiema ramionami na
szyję cześnika, szepcząc ustami przylgniętymi do star-
ca piersi: ratuj mnie panie! Cześnik zniewolił mło-
dziana że odpoczął na krześle przez chwilę nie małą,
przechadzał się po pokoju z rękami założonemi, du-
mał, i jakby ziarka jakie wyciągał powoli, pojedyncze
słowa z głębokości swoich dumań.

— Tę panią Jelińską nie znam, zaczął mówić, sły-
szałem tylko duże ma dobra, ale ekstrakt tabu-
larny widziałem; przeniosła się do miasta, a mia-
steczko kosztuje, herbatki, baliki, figle, a pieniądze
płyną jak woda. Nie znam ją osobiście. Ale to nie-
ma nic do tego, znajomość się robi. Wasindzi znasz
zapewne to pismo? zapytał wyjmując z kamizelki
kopertę listu.

A *Monsieur Monsieur Wenda*; odczytał Ju-
liusz zadziwiony, poznaawszy pismo pani Jelińskiej.

— Pan dobrodziej korespondujesz z panią Jeliń-
ską? zapytał.

— Od niejakiego czasu; ale to niema nic do tego,
miarkujesz wasindzi; no co? zaczynasz upadać na
duchu? — trzeba ciebie podnieść; niema sposobu;
pod twoje nogi podłóż szkatułkę; miarkujesz? a gdy-
by jeszcze trudno ci było dosięgnąć do tego jabłuszka
co się tobie tak uśmiecha; no damy sobie radę,
miarkujesz asindzi; potrząśniemy trochę drzewkiem,
a jabłuszko samo upadnie; jeśli zdrowe, nie rozbije
się choć spadnie z wysoka.

— Nie pojmuję panie cześniku.

— I nie ma potrzeby, bo miarkujesz wasindzi na
prędkie plan już ułożyłem, nie pytaj się jaki; na coż
tobie zaglądać do kuchni, gdzie się będzie siekać,
krajać, smażyć i przyprawiać; lepiej do gotowego
mój panie Juliuszu, jak będzie obiad gotowy wtenczas
cię zaproszę, Hymen będzie kredensował, a może jaka
butelka staruszką korkiem wystrzeli na wiwat!

Zamknął cześnik, a młodzian słuchając tej dziwnej
przemowy, jej znaczenia chciał się doczytać na twa-
rzu mówiącego; ale ciemno w izbie było zupełnie, tyl-
ko nad komodą w powietrzu błyszczały jakby dwa roz-

palone sztyleciki, knoty dwóch świe palących się, a zapomnianych.

— Zagadaliśmy się do późnej nocy, przemówił cześnik, czas podobno pomyśleć o spoczynku, więc do zobaczyska, wracaj do twojego Kogutka, dobry jest to ptaszek, on pieje na odmiane, miarkuj to sobie wasindzi, jesteś pod znakiem odmiane. A zatem powiedz sobie po polsku, a myśl po łacinie, kura pije winko. *Adieu!* Jakub poświeci wasindziejowi. Odprowadził swojego gościa do sieni.

Godność niewiast.

Z SZYLLERA.

Czcijmy niewiasty; ich ręka wplata

Róże do cierni naszego świata;

Pasmo miłości snuje ich dłoń.

Uczuć płomienie, co wiecznie płoną,

Żywią pod wdzięczną wstydu osłoną,

Lejąc na ziemię roskoszy woń.

Z szranek prawdy się wyrzuci

Swoją dziką siłą mąż;

Na morzu burzliwych chuci

Szamota się myślą wciąż;

Do ustawnej skory jazdy

Chciwie pędzi w dalszy świat;

Aż w niebiosa, między gwiazdy

Niesie marzeń swoich kwiat.

Ale niewiasta okiem dobroci

Do domu ojców zbiega nawróci;

Wnęca go w życia powszedni tór;

A sama wierna rodzinnej chatce

Skromnie, przystojnie, przy czulej matce

Tuli się gronko wstydlivych cór.

Mocny władzą pustoszenia

Mąż ze światem idzie w bój;

Bez spoczynku, bez wytchnienia,

W burzach trawi żywot swój;

Dzieci swemu życie wydrze;

Żądze jego rosną w ciąż.

Jako łeb, gdy utniesz hydrze,

Nowy rośnie znowu wąż.

W zawodzie cichej sławy szczęśliwa,

Kwiat swej zagrody niewiasta zrywa,

Cichy, powszedni piastuje kwiat.

W drobnym zakresie w cnoty bogatsza;

Choć u niej wiedza nauki rzadsza,

Choć się nie puszcza w uroję świat.

Mężo dumni i nieczuli,
Zimno u nich kipi krew;
Im do serca się nie wtuli
Miłości niebiańskiej śpiew;
Duszą duszy nierozpali;
Płacz to jemu śmieszny żart;
Walka życia, bardziej stali,
Twardy swego serca hart.

Ale jak w struny zeńr gdy trąca,
Zadrzy Eola arfa czująca;
Ach tyle czucia niewiasta ma!
Cieniem niedoli już roztkliwioną
Widzisz: bijące litością łono,
W oku się perli niebiańska łza.

Tam gdzie mąż za władzę chwyta,
Przemoc daje światu kształt;
Mieczem swym dowodzi Scyta
A Pers w jarzmie, cierpi gwałt.
Po bezdrożach, namiętności
Pędzą jego życia wóz;
Bo tam Erys dzika gości
Gdzie Charyta milknie już.

Ale niewiasty, słodką swą władzą
Na tron łagodne cnoty prowadzą,
Gaszą niszczącej niezgody żar;
Siły w ustawnym ze sobą boju
Łączą i wiążą w stokim pokoju;
Szczęśliwa zgoda to niewiast dar.

Adam Gorczyński.

Hussein basza w Neapolu.

W hotelu *della Vittoria*, najpierwszej gospodzie Neapolu, u pana Marcina Zir wysiadł wygnany dej Algieru z swojemi skarbami, dworem, oraz odaliskami i wynajął trzy górne piętra: trzecie dla swej świty, czwarte dla siebie i swych skarbów, a piąte, czyli śpiakerz, dla swego haremu. Tak mieszkał od pięciu miesięcy, w którymto przeciągu na cześć jego wysokości różne dawano zabawy. Podczas jednej z takowych patrząc na tańczące pary, zapytał dej pewnego znakomitego dygnitarza, który był zięciem ministra spraw zagranicznych: jakimto sposobem przy takich dostatkach chce mu się jeszcze szamotać w tańcu? z resztą namiętnie ucześniezał na podobne zabawy, był bowiem miłośnikiem pici pięknej, tylko że z właściwego sobie oceniał ją stanowiska, wyrażając swój niesmak lub upodobanie stosownie do szczupłości albo też dobrej tuszy damy temi słowy: pani ta i owa niewarta trzech piastrow, za panią tę i tę dałbym tysiąc czerwonych złotych.

Pewnego ranka wbiegł kucharz Hussein-baszy,

piękny nubijski murzynek, z lśniąco, czarną twarzą do kuchni hotelu i zażądał największego noża kuchennego. Podano mu nóż na ośmnaście cali długi, giętki jak rapir a jak brzytwa ostry. Murzynek potrząsł wznak wątpienia głową, obejrzał nóż i pospieszył z nim na trzecie piętro. Wkrótce przybył znowu, zwracając nóż temi słowy: większego! większego! — Kuchmistrz przejrzaawszy wszystkie półki, znalazł inny, znacznej długości, którego rzadko kiedy używał i podał go swemu czarnemu koledze. Ten oglądnął go znowu z uwagą jak wprzód, potrząsł głową właśnie jakby chciał powiedzieć: Hm! nie jest to taki jak potrzeba lecz może się i ten przyda; i poleciał znowu wschodami na górę. W pięć minut wrócił po raz trzeci i oddając nóż zawołał: Większego jeszcze! — Do stu katów! i na coż to wam jeszcze większego noża potrzeba? zapytał kuchmistrz. — Nam będzie potrzebny odrzekł murzynek zimno, łamaną, włoską mową. — Coż będziecie z nim robić? — Łeb urzynać Osminowi. — Osminowi? nadzorcy, który u de ja w takich łaskach? — Tak, tak, jemu! — Czyście oszaleli przyjacielu! gdybyście to uczynili, rozgniewalibyście na śmierć jego wysokość. — Wysokość mi rozkazał. — Do diabła to co inszego! — Dać więc nóż inny! zawołał murzynek z stałością wiernego posłuszeństwa. — I coż takiego Osmin zawinił? — Dać inny nóż większy, większy! — Dobrze, dam go wam, lecz wprzód musicie mi powiedzieć, co Osmin zawinił. — Osmin dozwolił w murze zrobić dziurę. — I coż tedy? — Mury te były Zaidy mury. — Aha! faworyty jego wysokości? — Tak faworyty wysokości. Człowiek wlaź do Zaidy. — Tam do kata! — Dać mi więc nóż wielki, wielki, głowę urzynać Osminowi. — A coż będzie z Zaidą? — Wysokość pójdzie na przechadzkę ku Golfu z workiem, Zaida będzie w worku. Wysokość wrzuci work w morze i bądź zdrowa Zaido! — A w kiedyż to się ma wykonać? — Dziś zacznem z Osminem, potem wezmę Zaidę. — Więc to wam rozkazano? — Wysokość mnie rozkazał, odrzekł murzynek chępliwie. — Dobrze, dobrze, odparł na to kuchmistrz, każę ja wam już nóża poszukać; zaczekajcie tylko chwilkę.

Kuchmistrz pospieszył do pana Marcina Zir i objawił mu żądanie kucharza jego wysokości; a pan Marcin pobiegł prędko do ministra policji, któremu opowiedział rzecz całą. Minister kazał zaprządz i pojechał do de ja. Zastał on jego wysokość spoczywającą na dywanie z opartymi o ścianę plecyma i palącą fajkę na długim cybuchu. Jedną nogę miał de j pod siebie założoną, drugą zaś wyciągniętą, u której mu *jushoglan* nacierał podeszwę, podczas gdy dwóch innych niewolników wachlarzmi jego wysokość chłodzi-

ło. — Minister zrobił trzykrotny urzędowy ukłon, a de j odkiwnął głową.

— Mam honor oświadczyć waszej wysokości, wymówił dostojny urzędnik, iż jestem ministrem policji. — Znam cię, odrzekł de j na to. — Azatym wiadomą będzie waszej wysokości przyczyna, która mię tu sprowadziła. — Nie jest mi znana; lecz to nic nie znaczy, witam cię jako gościa. — Przyszedłem wstrzymać waszą wysokość od zbrodni. — Co? zbrodni! a jakiej? zapytał de j wyjmując z ust cybuch i spoglądając z wyrazem najwyższego zadziwienia na mówiącego. — Jakiej? zawołał minister, alboważ wasza wysokość nie masz chęci kazać urznąć głowę Osminowi? — Urznięcie lba Osminowi nie jest zbrodnią, odparł de j. — I czy wasza wysokość nie zamyśla wrzucić Zaidę do morza? — Zaidę utopić nie poczytuję za zbrodnię. — Jak to! więc to nie jest zbrodnią? — Kupilem Osmina za 500 piastrów, a Zaidę za 1000 cekinów podobnie jak tę fajkę, która mię 100 czerwonych złotych kosztuje. — I coż to wasza wysokość chcesz przez to powiedzieć? — Fajka ta jest moją, mogę ją potłuc jak zechcę na dziesięć, dwadzieścia lub pięćdziesiąt kawałków a nikogo to nie ma obchodzić. To rzekłszy rozbił de j fajkę i rzucił kawałki na pokój. — To uchodzi z fajką, powiedział minister policji, lecz nie z Osminem i Zaidą. — Oni tej warci, są tego co fajka, odparł de j zimno. — Jakto! i tyle nie co fajka? mężczyzna i kobieta mniej warci niż fajka? — Osmin nie jest mężczyzną, ani Zaida kobietą, są oni tylko niewolnikami. Każę urznąć lba Osminowi i utopić Zaidę w morzu. — To być nie może! odrzekł urzędnik. — Co, nie? krzyknął de j z groźną miną. — Nie! powtórzył minister, a przynajmniej nie w Neapolu. — Głaurze! zawołał de j, czy znasz ty me nazwisko? — Waćpan się nazywasz Hussajn-baszą. — Psie niewierny! a wiesz ty kto ja jestem? wrzasnął, czerwony od złości. — Waćpan jesteś ex-dejem Algieru, ja zaś rzeczywistym ministrem policji w Neapolu. — Coż to ma znaczyć? zapytał de j. — To ma znaczyć, iż waćpana każę wsadzić do więzienia, jeżeli waćpan będziesz tak niedyskretnym; czy rozumiesz mię mój szanowny panie? odpowiedział minister z jak największą flegmą. — Do więzienia! mruknął de j i usiadł znowu na dywanie. — Tak, do więzienia potwierdził minister. — Więc dobrze! odrzekł de j, dziś jeszcze wieczór opuszczę Neapol. — Wasza wysokość jest wolnym jak powiećrze; lecz pod jednym warunkiem możesz wasza wysokość wyjechać: przysięgniesz mi wasza wysokość na brodę proroka, iż się Osminowi ani też Zaidzie nie zlego nie stanie. — Osmin i Zaida są moją własnością, ozwał się de j znowu, zrobie z nimi co mi się spodoba. — Kiedy tak, to wasza

wysokość nie wyjedziesz! — Co, ja nie wyjadę? — Nie! przynajmniej dotąd dopóki mi wasza wysokość nie wydasz Osmi i Zaidę. — To się nie stanie! krzyknął dej. — Wiec ja ich sam wezmę, powiedział nato minister. — Jaktó, mnie wziąć mego nadzorę i mą niewolnicę? — Niewolnica i nadzorca waćpana, skoro tylko stanęli na ziemi neapolitańskiej, już tem samem są wolni. Waćpan możesz Neapol tylko pod warunkiem opuścić: iż oddasz oboje zbrodniarzy królewskiemu urzędowi sprawiedliwości. — A jeżeli ich nie zechcę wydać, odrzekł dej, i ktoż mi może zabronić z tąd wyjechać? — Ja! — Wy? i sięgnął po ostrą u pasa zatkniętą handżar; lecz pochwycił mu rękę minister. — Proszę waćpana tu do okna; zobaczno waćpan, co tam stoi koło bramy hotelu? — Oddział żandarmów. — Czy wiesz waćpan na co czeka dowodzący nimi sierżant? na znak tylko aby waćpana do więzienia zaprowadzić. — Mnie do więzienia? Chciałbym to widzieć! — Czy istotnie chcesz waćpan to widzieć? — Minister dał znak i zaraz słysząc można było na wschodach stąpanie mężczyzny w ciężkich butach z ostrogami. Drzwi się rozwarły, a ukazał się w progu sierżant salując ręką podniesioną ku kapeluszu. — Gennaro! wyrzekł minister, czy wahałbyście się na mój rozkaz pojmać tu tego pana i do więzienia zaprowadzić? — Bynajmniej, excellencio! — Wiadomo wam zapewne, że się ten pan Hussejn-baszą nazywa. — Tegom nie wiedział. — I że jest dejem Algieru; to także wam znane będzie? — Dej Algieru? coż to ma oznaczać takiego? — Widzisz więc waćpan, mówił teraz minister obróciwszy się do deja. — Do diabła! pomyślał dej sobie. — Czy każe excellencja? zapytał Gennaro, i zbliżył się do baszy, na co tenże kilka kroków w tył postąpił. — Dajcie temu pokój powiedział minister; jego wysokość będzie przecież tak rozsądnym. Poszukajcie tylko w hotelu niejakiego Osmi, oraz niejakiej Zaidy i przyprowadźcie ich tu oboje. — Co? jaktó? wrzeszczał dej, ten służalec ma wejść do mego harem? — Nie jest on służalcem, lecz sierżantem żandarmów. — To wszystko jedno, potrzebuje tylko drzwi otworzyć. — Na to jest sposób: wydaj waćpan sam Osmi i Zaidę. — A będąże ukarani? zapytał dej. — Podług całej surowości praw naszych. — Mogęż się na to spuścić? — Ręczę honorem. — A więc, powiedział dej, niech już i tak będzie, kiedy inaczej być nie może. — Wiedziałem to dobrze, odparł minister, iż waćpan tak złym nie jesteś jak się wydawało.

Hussejn-basza klasnął w dłoń i wyszedł jeden z trzebieńców zpoza opony kobiercowej, złożył na piersiach wkrzyż ręce i odszedł, skłoniwszy się nisko. Wkrótce przybył znowu prowadząc za sobą zbrodniarzy. Nadzorca byłto niski, otyły, pękaty mężczyzna, z twarzą, rękoma i nogami prawdziwie kobiecemi, a Zaida owa nadobna Czerkieska miała brwi *kołolem* pocernione i paznokcie różową *henną* ubarwione. Na widok Hussejn-baszy padł nadzorca na kolana, Zaida zaś spojrzała w górę. Z iskrzącym wzrokiem porwał dej za handżar; pobladł Osmi, Zaida się uśmiechnęła. Minister stanął pomiędzy dejem a zbrodniami. — Czyńcie co wam zleciłem! rzekł do Gennara, który potym wyprowadził Osmi i Zaidę, włożywszy wprzód na nich kajdanki. W tej chwili gdy z sierżantem wychodzili, wydobyło się z piersi Hussejn-baszy głębokie westchnienie, podobne do ryku lwa ranionego. — Mini-

ster przysiął do okna, a zobaczywszy iż sierżant z więźniami mijają już róg ulicy *Chiatamone*, obrócił się do deja i powiedział: Teraz wolno waszej wysokości odjechać gdzie się spodoba. — Natychmiast! krzyczał Hussejn, zaraz, niechęć ani chwili więcej bawić w tak barbarzyńskim kraju! — Szczęśliwej podróży! ozwał się na to minister. — Idź do czarta! odpowiedział Hussejn. — Nie upłynęło i godziny, a już najety był mały statek, w dwie godziny potym znajdowały się na nim odaliski i skarby Hussejn-baszy, w wieczór udał się sam z swą świtą na pokład, a o północy odplynął, miotając przekleństwa na kraj niewolniczy, gdzie nie miał tyle wolności by mógł urządzić łeb swemu nadzorcy i utopić swą niewolnicę.

Nazajutrz rano kazał minister policji oboje zbrodniarzy do sądu przyprowadzić i rozpoczął z nimi badanie, z którego się pokazało że całym ich występkiem było to, iż Osmi spał, zamiast coby miał czuwać; a Zaida zamiast coby miała spać, czuwała. A że kodex prawny neapolitański tych dwóch zbrodni nie wymienia, puszczono więc Osmi i Zaidę bezkarnie, z niematem ich zadziwieniem, na wolność, po odjeździe deja. Niemając innego sposobu do życia, musieli się zrazu chwycić małego przemysłu: Osmi otworzył kramik z tureckimi pastyllami do fajek; Zaida zaś została kawiarką.

Dej Algieru opuścił Neapol z mocnem przedsięwzięciem udania się do Anglii, gdzie jak styśzał, żonę jeśli już nie utopić to przynajmniej sprzedać można; jednakże rozchorował się w podróży i musiał wysiąść w Liworno, gdzie jak wiadomo, zmarł szczęśliwie, jeżeli tylko jego błogiemu skonowi to na zawadzie nie stało, iż nie przebaczył panu Zir: ważna okoliczność dla chrześcianina; jednakże u muzułmana nie wiele mająca znaczenia.

Zegota Pauli.

Uwiedomienie.

Pan Juliusz A. Wystłobocki nauczyciel pięknego pisanja ogłosił prenumeratę na dzieło kaligraficzne, zawierające przepisy i prawidła pięknego pisanja, oraz sposób zaprawiania dobrze pióra, trzymania go i prowadzenia. Przyłączone będą wzory pisanja polskiego i niemieckiego a nawet i rossyjskiego. Wyjdzie to dzieło za trzy miesiące w jednej z pierwszych litografij wiedeńskich na pięknem papierze. Dochód z niego przeznaczony jest na korzyść lwowskiego zakładu głuchoniemych, i już temsamem zasługuje to przedsięwzięcie na wsparcie liczną prenumeratą do której wzywa wydawca wszystkich szlachetnie myślących. Cena przedpłaty na papierze welinowym zwyczajnym wynosi ryński 1 i kr. 20 m. k., zaś na angielskim welinowym papierze 2 ryńskie.